

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

18

II.

Filip pojechał drugi raz do Glaieuls i w dalszym ciągu ponawiał swoje odwiedziny. Były to spotkania dziwne i podniecające.

Oboje niejako odradzali się po części, wywołując przeszłość z mroku niepamięci.

Filip poznawał każdą kokieterijną minkę Teresy, każdy jej figlarny uśmiech, każde rozmazane spojrzenie. W tym powrocie tkwił jakiś czar niewypowiedziany, mocny i odurzający. To była przeszłość, a jednak teraźniejszość. Przeżyte dawno, a jednak zupełnie nowe.

Urok, jaki obecnie wywierała na Filipa Teresa, był silniejszy, a inny niż ten, który przed kilku laty oszołomił młodego Givreuse'a.

Teresa, zdawało się, jakby odmłodziła. Było w niej mniej instynktowego okrucieństwa, a więcej świeżości uczucia.

U Teresy rzecz miała się inaczej. I ona przeżywała po raz wtóry przeszłość, ale w tem przekonaniu, że Filip i Piotr to dwaj różni ludzie.

I ona w ruchach, w głosie, w spojrzeniach Filipa odnajdywała Piotra, ale to było dla niej to samo, co nowy rozkwit tego samego kwiatu.

Odnajdywała człowieka, który ją zdobył — w innym. A ponieważ kochała Givreuse'a i tęskniła za nim — więc to było dla niej jak upajające odrodzenie.

Młodo owdowiała — raz tylko po długim oporze uległa mężczyźnie. Po zerwaniu z Piotrem, przysięgła sobie, że nie chce już znać innej miłości, prócz małżeńskiej... Lubiała bowiem życie uregulowane i instynktową odrazę czuła do zboczeń z prostej drogi.

Byłaby to miłość, to co teraz czuła dla Filipa. Sama nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Bez oporu pozwalała unosić się chwili oszołomienia, tym przedziwnym cudem psychicznym, który nie mógł mieć jutra.

Pewnego dnia, gdy Filip zasiedział się dłużej niż zwykle, rzekła mu:

— Już jest zapóźno, aby pan mógł zdążyć na obiad do Carolles. Wie pan co?... Zjemy razem obiad.

Pożalowała zaraz swego zaproszenia. Skoro jednak przypomniała sobie, że za dwa tygodnie znajdzie się na falach Oceanu, wzruszyła tylko ramionami.

— Wszystko jedno! — pomyślała.

Obiad jedli na werandzie, mając przed sobą aksamitne kobierce trawników, przetkane różnobarwnym kwieciami i rzędy buków o czerwonych liściach i lip rozłożystych.

Było to właśnie w tym czasie, gdy lipy poczynają wydzielać swoją upojną woń.

Wieczór nadchodził powoli. Nietoperze, melancholijne dzieci zmroku, zaczęły swoje smętne tańce.

— Nie lubiłam nigdy zmierzchu! — rzekła Teresa, kładąc do ust truskawkę — Zdawało mi się zawsze, że to godzina obaw... godzina złych przeczuć... Roilo mi się, że te płomienie, które o zachodzie zapalają się w obłokach, mogą objąć pożarem całe niebo i całą ziemię.

— Ja zaś lubię zmierzchu! — odparł Filip.

— Doprawdy?... Dzieci nie lubią nigdy zmierzchu... zwierzęta przeważnie także nie... To zupełnie naturalne. Zmierz jest zwiastunem żaloby w przyrodzie — nocy.

Młodzieniec nie odrywał wzroku od postaci swej towarzyszki, na którą ostatnie blaski zachodzącego słońca rzuciły krwawo-złote blaski.

Kilka wielkich gwiazd ukazało się na niebie. Świerszcz jakiś ćwierkał w trawie. Wnet zawtórował mu drugi, potem trzeci. Orkiestra wieczoru.

Świetliki pozapalały swoje migotliwe światła.

— I pomyśleć, że w kraju wojna! — ozwała się nagle Teresa i twarz jej zasępiła się — I że tylu naszych...

Nie dokończyła. Pochyliła głowę. Długa chwilę

trwali oboje w milczeniu, zjednoczeni uczuciem bólu za Francję.

— Czy pan pali? — przerwała wreszcie milczenie Teresa.

— Niewiele. I tylko wtedy, kiedy mi jest bardzo smutno.

— Szuka pan w dymie tytoniowym złudzeń?

— Tytoń nie daje mi żadnych złudzeń. On tylko rozprasza moje myśli. Dzisiaj wolę zapach lip.

— O! jak to słodko teraz patrzeć na panią! — szepnął Filip, tonem zdawna dobrze jej znanym.

Teresa drgnęła lekko, wyrwana z koła swych marzeń.

— Doprawdy? — rzekła z odcieniem szyderstwa — Czy pan jest zupełnie szczery w tej chwili?

— Wątpi pani o tem?

Potrząsnęła głową.

— Chodźmy na spotkanie księżyca. Wychyli się o! tam z za tych buków czerwonych.

Wstała i nie osłaniając niczem głowy szła ku trawnikom. Filip znał ją zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że to jest wyzwanie. Ale wiedział i to także, że Teresa lubi wyzywać dla kaprysu, przez ciekawość lub przez przekorę.

Cicho deptali miękką zroszoną trawę. Potem Teresa skierowała się na ścieżkę wśród gęstwiny buków.

Zapach włosów i ciała młodej kobiety zdawał się być silniejszym niż wonie roślin, przynajmniej Filip odczuwał go silniej. Słuchem łowił szelest jej sukien. Ilekroć obracał się, widział białą twarz, której rysy zacierały się i ciemną masę włosów.

Krew uderzyła młodzieńcowi do głowy. Chwytał małą rękę kobiecą i uwięził w swej dłoni.

— O!... — zawołała Teresa tonem wymówki.

Szybko i zręcznie uwolniła rękę. Powietrze przeciął śmiech jej, śmiech srebrzysty, trochę osty.

— Pan mnie nie schwytał!

Zniknęła wśród drzew.

Filip słyszał jej lekkie kroki i puścił się w pogon naoslep z płonąca głową, w której czuł zamęt.

Nagle śmiech zabrzmiał tuż po za nim. Kiedy się obrócił zobaczył o kilka kroków przed sobą bladą sylwetkę kobiecą.

— Widzi pan — rzekła z naciskiem Teresa — że mnie bardzo trudno schwytać... Al o! księżyc...

Pomiędzy drzewami zaczynał przesiewać się łagodny blask, niby światło przyćmionej lampy. Wreszcie na niebo wypłynął krąg czerwony, zimny.

— Oto ręka, którą pan chciał przytrzymać — powiedziała Teresa z jakąś dwuznaczną słodyczą — to jest ręka przyjaciółki...

Filip ujął podaną sobie rączkę z pewną bojaźnią. Ukląkł, żeby złożyć na niej pocałunek.

Doprawdy, pan mi zanadto nadskakuje! — zaśmiała się — Proszę się strzedz... bo...

— A jeśli ja panią kocham?...

Pan... mnie?... Rzeczywiście.

Ujęła jego ramię i prowadziła go znowu po trawniku, podobnym do wielkiego zielonawego jeziora.

— To straszne, co pan mi powiedział! — szepnęła młoda kobieta — Ale to nieprawda chyba...

— To równie prawdziwe, jak to, że żyję!

— Tem gorzej. Nie wolno pokochać tak prędko. A jeżeli pan naprawdę kochasz mnie, biedny chłopcze... Pomyśl! Ja wkrótce odjadę daleko... daleko... I nie prędko pan mnie zobaczy znowu, jeżeli wogóle... Nie trwoni się tak marnie miłości...

— Czyż miłość pyta o naszą wolę? Zresztą cierpieć przez panią, to także rozkosz.

Zwróciła ku niemu twarz, przyjaźnie uśmiechniętą, ale nie odpowiedziała ani słowa.

Przez cały następny tydzień spotkania ich były krótkie.

Teresa okazywała usposobienie nierówne. Bywały chwile kiedy traktowała Filipa jak obcego, niekiedy zaś stawała się prawie pieszczotliwą.

Ani jedno, ani drugie nie myślało o żadnym rozwiązaniu.

Teresa była oszołomiona tem przeżyciem, w którym miłość wczorajsza w dziwny sposób łączyła się z miłością dzisiejszą.

Jednakowoż skłonność jej do fantastycznego, sobowótora Piotra Givreuse wzrastała z nieprzewidzianą szybkością. Zrodzona z podobieństwa tych dwóch ludzi, różną była wszakże w swej

istocie. Nowa miłość pomimowoli Teresy miała jakiś odcień większej poufalskości i serdeczniejszej przyjaźni.

Pewnego dnia młodej wdowie, przysłuchującej się temu, co mówi jej Filip, błysnęło nagle podejrzenie. To podejrzenie już kilka razy musnęło jej mózg uważała je jednak za tak bezsensowne, że odrzucała je odrazu.

Teraz jednak zaczęła się nad niem zastanawiać.

Uważnie a nieznacznie śledziła Filipa. Zadawała mu rozmaite podstępne pytania.

Młodzieniec miał się na baczności. Przejście z panną Varsennes pouczyło go, że nie wolno mu oddawać się wspomnieniom. Odtąd o przeszłości swej mówił nadzwyczaj ostrożnie.

Teresy nie dziwiło to specjalnie, ale podejrzenie trwało. Była nawet chwila, kiedy zdawało się jej, że z pewnością Piotr Givreuse jest przy niej i gra rolę Filipa.

— Idyotyzm!... — myślała. — Pocóżby to robił?

Podejrzenie nie ustępowało.

— A gdyby to jednak był Piotr?

Teresa nie lubiła żyć w niepewności i wahaniu.

Postarała się więc o najdokładniejsze informacje o życiu obecnym obu młodzieńców, o ich pracach, rozrywkach i wyjazdach.

Dowiedziała się także, jakim jest stosunek uczuciowy Piotra Givreuse do Walentyny Varsennes.

— Więc dlatego Piotr nie przybył na moje wezwanie? — zastanawiała się. — Ale jeśli moje podejrzenia są słuszne, to byłoby wytłomaczeniem dlaczego on chce wobec mnie grać rolę swego sobowótora Filipa. W takim razie postąpiłby niezwykle chytrze, wstrętnie, haniebnie!... Nie ryzykując nic miałby dawną i nową miłość.

Teresa śmiała się sama ze swych przypuszczeń, co nie przeszkadzało krążyć jej koło zamku Givreuse. Szpiegowała Piotra.

Pewnego dnia spotkali się. Piotr ujrzał nagle Teresę przed sobą.

Zatrzymał się i utkwiał w młodej kobiecie spojrzenie pełne naiwnego zdumienia.

— Pani Teresa... — szepnął.

Teresa badała rysy jego twarzy z gorączkową ciekawością. Bardzo szybko spostrzegła, że Givreuse ma policzki szczuplejsze od Filipa, cerę bledszą i w całej swej istocie coś więcej marzycielskiego, miękkiego, niezdecydowanego.

— To on, to Piotr! — powiedziała sobie. — To ten, którego kochałam!...

Z radością poczuła, że ta dawna miłość, tak gwałtowna i gorąca, nie wzrusza jej już dzisiaj. Uczucie dla Piotra zniknęło, umarło. To dla Filipa uderzało jej mocniej serce.

Teresa odgadła w Piotrze to samo zubożenie i nawet nie była gniewna o to, trochę tylko podrażniona.

— Wie pan, widziałam pańskiego sobowótora — powiedziała z odrobiną ironii. — Bez wątpienia podobieństwo jest fenomenalne. A jednak ja bym się nie omyliła.

Stali tak jeszcze przez chwilę, zamieniając z sobą słowa nic nie znaczące, konwencyjonalne, obojętne.

Potem Teresa podała Piotrowi rękę i odeszła bez jakiegokolwiek do niego urazy.

— — — — —

— Piotr uważał, że powinien zatelegrafować do Filipa. Koło wieczora Filip przyjechał do zamku.

— Spotkałem dzisiaj Teresę — rzekł mu Piotr, kiedy znaleźli się sam na sam.

Filip pobladł. Targnęła nim fala gwałtownej zazdrości.

— Gdzie? — zapytał głuchym głosem.

— Na drodze do Avranches.

— Ona chciała umyślnie tego spotkania.

— Nie sądzę. Mówiliśmy z sobą tak krótko i tak obojętnie!

Filip szedł przez jakiś czas ze spuszczoną głową. Głęboka zmarszczka ściągnęła mu brwi. Usta zacisnęły się wyrazem surowego smutku.

— Nie chciałbym — rzekł w końcu — aby życie moje stało się jeszcze smutniejszym. Poddałem się woli losu. Pragnąłem, żeby pomiędzy nami nie było żadnej rzeczywistej rywalizacji. I dlatego pytam: Czy Teresa jest ci zupełnie obojętną?

— Najzupełniej.

— A ja kocham ją.

(Ciąg dalszy nastąpi).